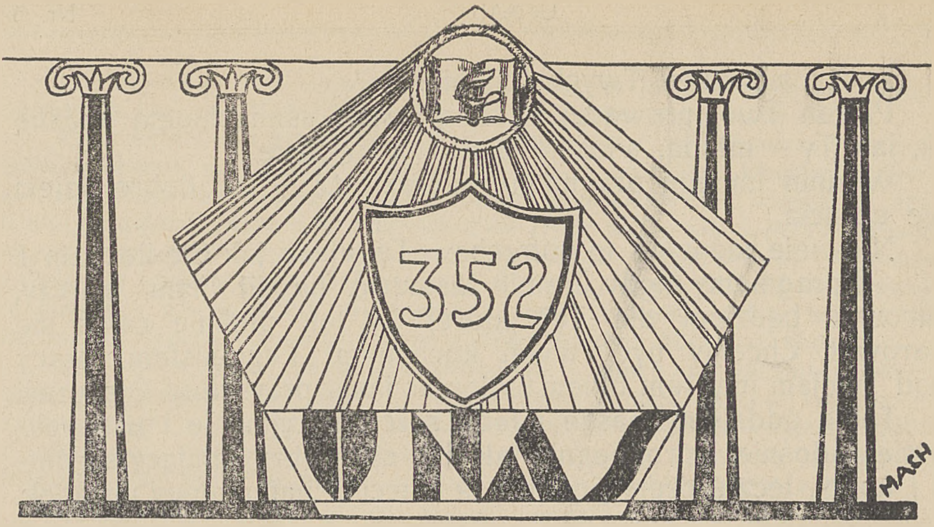


Marzec 1935 r. **NUMER 5.**

Cena 15 gr.

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ—DĘBICA.

W dniu Imienin.

Jakżeż trudno jest coś o Tobie napisać lub powiedzieć...

Cisną się na usta słowa tłumnie, gromadnie, lecz milkną bezradnie wobec ogromu tego, co chcą, a nie umieją wyrazić

Bo dziwnym jesteś człowiekiem,

— — tak wielkim, że zmuszasz, aby Cię czcić i poważać bez zastrzeżeń —

— — i tak ludzkim, że każesz się tylko jak Ojciec drogi i bliski kochać.

Wielkość Twoją znamy i czujemy.

Poeci zaklęli ją w swych natchnionych pieśniach, rzeźbiarze zakuli w marmury.

Moc Twego ducha powiewa z szumiących chorągwi i sztandarów, wyśpiewują ją siwe fale Bałtyku, szumiące, bujne łany zbóż i tatrzańskie bory. Stare rozłożyste lipy szepcą ciche opowieści o Siwym Komendancie, co to Strzelców powiódł w pole i tę naszą ziemię-rodzicielkę znojem swoim użyźnił i polską uczynił.

— — Wielkim jesteś, wielkim!...

Mówi to Orzeł Biały, z kajdan rozkuty i Polska cała wolna.

Ty jesteś przecież tym, który miał przyjść... Wyśniły Cię prorocze wizje Wieszczów, snute o Zmartwychwstaniu w pomroce niewoli. —

Zjawiłeś się jak jasna błyskawica na widnokręgach dziejów — i Polska wstała do życia.

Zbliża się dzień Twych Imienin.

Patron Twój prowadzi z sobą jasną, uśmiechniętą wiosnę tak, jak Ty — młodą, wiośnie podobną - Polskę.

W dniu Imienin pragniemy wyrazić Ci — jak dobre dzieci swe uczucia.

Niewiele słów na to potrzeba: —Ty wiesz, jak Cię kochamy!.

— I pragniemy nigdy Cię nie zasmucić. Ile sił nam starczy, pracować będziem dla Tej, której Ty tak pięknie całyś się ofiarował. Chcemy być Twymi kochanymi Legjonistami pracy i pod Twojem mądrem okiem budować jasną przyszłość Ojczyzny.

Tobie oddajemy nasze młode serca: przyjmij je i uśmiechnij się radośnie i promiennie tak, jak ojciec, przyjmujący skromny i ubogi, lecz szczery podarunek dzieci w imieninowy poranek.

MACH WILHELM

Rozrachujmy się!

Marszałek Józef Piłsudski jest dla nas, młodego pokolenia, symbolem pracy i poświęcenia się dla Polski.

Słusznem jest więc postanowienie C. Z. G., aby w dniu Jego imienin, w którym szczególnie jasno nam ta praca i to poświęcenie stanie przed oczyma, zdać sprawozdanie z naszej pracy nad uspołecznieniem nas wszystkich. Musimy się sami ze sobą rozrachować, musimy poważnie się zastanowić nad tem, czy nasza praca prowadzi do zamierzonego celu, czy nie? Czy my, jako przyszli obywatele, dobrze przygotowujemy się do pracy społecznej, czy wreszcie droga, którą idziemy do tego celu, jest dobra i właściwa?

Powie ktoś, że to nic trudnego, że to przecież jasne, dowody naszej pracy spotykamy na każdym kroku. Są one widoczne, więc zdawaćby się mogło, że temi kwestjami nie należy się więcej zajmować, gdyż to do niczego nie doprowadzi.

Przeciwnie! Musimy wszyscy wiedzieć, co zrobiliśmy, musimy znać nasz plon, ale koniecznie także musimy się dowiedzieć, co mogliśmy i co należało zrobić...

Praca samowychowawcza — uspołecznienie nas wszystkich — idzie po linji nieco wypaczonej, po linji „zrobienia jak najwięcej". Dlatego też C.Z.G. daje tym organizacjom pochwały, które zrobiły najwięcej, a nie tym, które zrobiły mało, ale coś wartościowego. Nie zwraca się u nas uwagi na to, czy poczynania nasze są naprawdę wartościowe, czy my chociaż minimalną korzyść z tego odniesiemy. Bo, że jednostka ją odniesie, to jest wiadome, a gdzie reszta?

Przecież nam nie chodzi o wychowanie obywatelskie i uspołecznienie jednostki, ale całej społeczności gimnazjalnej. Przez takie właśnie nierozważne postępowanie tracimy niepotrzebnie czas, który powinniśmy zużytkować na pracę naprawdę wartościową — realizacyjną.

Gdyby mnie ktoś zapytał, którą z naszych prac uważam za najwartościowszą, — odpowiedziałbym bez najmniejszego wahania, że żadną.

Przecież w żadnym wypadku nie mógłbym nazwać wartościowemi naszych suchych zebrań, na których prawie nigdy nie są poruszane kwestje życiowe. Nie nazwałbym także w pełni wartościowemi naszych świetlic, wieczorów, akademij i poranków. Może coś ustąpiłbym na rzecz malowania i przyozdabiania sal szkolnych, ale i tu nie we wszystkich wypadkach. (Zdaje się, że tyle naszej pracy!) Kto bowiem ma z niej pożytek? Tylko i jedynie tylko jej wykonawcy. To znaczy: prezes kółka, kierownik imprezy, referent, a i to też nie we wszystkich wypadkach, bo „od czegóż byłby opiekun koła, czy klasy".

Zarzuci mi ktoś może jednostronność w moich rozważaniach. Powie także, że przecież jeden robi to, drugi tamto, a trzeci jeszcze coś innego. (Sprawiedliwy podział pracy!!) Doskonale, ale każmy temu drugiemu zrobić tę drobnostkę, którą zrobił pierwszy, albo odwrotnie. Co wtedy wyniknie?! Fiasko na całej linji. Nie będzie wiedział nawet, od czego trzeba zacząć.

Odkryliśmy więc dwa główne grzechy naszej pracy nad uspołecznieniem nas wszystkich. Pierwszy to ten, że wychowują się obywatelsko jednostki, a nie wszyscy, drugi natomiast, to ten może jeszcze większy, bo prawie podwójny, że jednostki te wychowują się w pewnych kierunkach tylko.

Widzimy z tego jasno, że nasz system pracy nad uspołecznieniem nas jest przestarzały, a tem samem reforma jest konieczna.

Zachodzi teraz pytanie, w jakim kierunku ma iść zmiana systemu naszej pracy, jakiemi drogami powinniśmy iść, aby nasz właściwy cel—uspołecznienie wszystkich — osiągnąć.

Jak już powiedziałem, spróbuję tę kwestję rozwiązać. Plan mój będzie może dla niejednego fantastyczny, ale śmiem powiedzieć, że rezultaty, jakie możnaby osiągnąć, pracując podług niego, byłyby niepomiernie większe od tych, które teraz osiągamy.

Zarzucam obecnemu systemowi pracy wychowanie obywatelskie jednostek, a nie wszystkich. Jest to także nasza wina, a głównie kierunku pracy.

Czy nie byłoby lepiej, gdyby jakaś organizacja czy klasa, urządzając świetlicę, — biorę przykładowo, — zaprzęgła do tej pracy wszystkich swych członków. Nietylko tych, którzy mają mówić jakiś dwuzwrotkowy wiersz, nietylko tych, którzy biorą udział w inscenizacji, ale także tych, których my pospolicie nazywamy aspołecznymi, a których sami nieopatrznie zostawiamy na boku, jak jakichś maruderów życiowych.

Wziąć ich ze sobą, powierzyć chociaż małą jakąś pracę, aby tylko byli czynni, aby poznali to, co teraz „wolno" tylko wiedzieć organizatorom imprez, aby poznali, jak wielki wysiłek trzeba włożyć w każdą pracę.

Wziąć ich ze sobą, niech się nauczą pracy, niech się nauczą robić najpierw małe, a potem większe rzeczy, niech się nauczą także organizować.

Teraz zarzut drugi, że wychowują się jednostki w jednym kierunku. Nie mniejsza to, może nawet większa bolączka, jak tamta.

Cóż mi bowiem z tego, że będę umiał napisać jakiś referat, — (napisać i odczytać) — skoro nie będę umiał zorganizować żadnej imprezy, skoro wcale nie będę znał życia.

Trzeba więc nam porzucić referaty, opracowywane przez jednego członka, te referaty, po których prawie nigdy dyskusja się nie rozwija, ale trzeba się nam przygotować do dyskusji wszystkim, aby móc rozmawiać na dany temat poważnie i rzeczowo, bez jakichś specjalnych „wprowadzań" przez referenta.

Trzeba zająć daną pracą wszystkich, nie tylko referenta, czy wykonawcę

projektu, jak się teraz praktykuje, ale każdego, bez względu, czy ma do tego zamiłowanie, czy nie!

Bo czyż dlatego, że nie mam do czegoś zamiłowania, mam się odrazu tem nie zajmować? Wszystko w życiu potrzebne, a niewiadomo, co nam los przyniesie.

Skończyły się bowiem czasy wyboru i przebierania tego, co życie niesie, a każdy musi brać to, co idzie ku niemu, musi nawet szukać i iść ku temu.

Reasumując to wszystko — niech naszą dewizą na nowy zaczynający się okres będzie hasło:

„Wszystka praca dla wszystkich"!

Kwiatkowski Kazimierz.

Do legjonisty.

Poszedłeś niby młody lew
Uwolnić Polskę od tyrana!...
Wracasz, na ręku twojem krew,
Kurtka twa krwią zbryzgana.

Żałośnie czegoś marszczysz brew,
Czy bardzo boli rana?...
Oto już trąbki zabrzmiał zew
Niepróżno krew przelana!

Zwycięskich hufców płynie śpiew;
Ojczyzna odzyskana!
Wróciła ją nam twoja krew,
Twoja, żołnierzu, rana!...

Helena Habasówna kl. I. b.

Wielkie miasto.

W tęczobarwnych kolorach wielkie płoną ulice,
Z każdej strony jak mara, jak słów mozajka, czar mknie,
Migają wkrąg i kuszą latarń krwawe źrenice,
Wzrok swój topiąc oziębły w dalekiej, sinej mgle.

Niby wąż przeogromny długi pojazdów mknie sznur,
Ludzie płyną falangą nakształt rzeki wezbranej,
Spokój, ruch z wrzawą piekielną wieczny wiodą tu spór,
Walkę srogą prowadząc na ulicy pijanej.

Brzmi wykwintna melodja miłych wspomnień i chwil,
Błyszczą w świateł powodzi okna wystaw wytworne,
Demon złota w swych rządach stwarza komfort i styl
I w ich szacie ukrywa swe oblicze potworne.

Świetlnych reklam odblaski wdal zerkają dyskretnie,
Przyciągają spojrzenia czarem swym nieodpartym,
Ktoś się śmieje, ktoś płacze, inny zaklnie znów szpetnie
I łzę szybko obetrze z ócz rękawem wytartym.

Makowiec Lech kl. VI.

Recepta.

Grypa w zakładzie! gwałtu! rety! ludzie!
Jedna... druga już klasa jest śmiertelnie chora:
Szczęście jednak w nieszczęściu, bo mamy doktora...
Więc grypa znikła w „Naprawie“ i „Budzie“.

Wielce srożyła się ta epidemja,
Codziennie bardziej wzrastając w swym szale;
Zwłaszcza,... że były i w godzin podziale:
Polskie, mantyka, fizyka i chemja

Z tego powodu więc umrzyków wiele:
Śmiertelnie chore były oba typy...
Jednak najwięcej „zwolenników“ grypy
Było... niestety... w 8-mej B oddziele.

Gracko wywiązał się z swego zadania
Nasz lekarz szkolny, nie szkodził nikomu;
Kto chciał wyzdrowieć: „Do łóżka! do domu!“
Grzmiał, gdy się pacjent stawił do badania.

Gdy ten już gotów był odmaszerować
(W duchu się chwaląc za swoje koncepta),
Gnała go zawsze niezmienna recepta:
„Płukać, chłopczyku! nacierać! smarować!“

Sławek 8 b.

Wiosenna poezja.

Czuję już ciepłe tchnienie nadchodzącej wiosny.

Nieśmiałe, ciepłe promienie słońca tulą się z pieszczotą do ziemi. Niezadługo rozkwitną białe śnieżyczki i stokrotki. Przyjdą ciągnące się jak nić pajęcza, cudne jak baśń czarowna, ciche wieczory, przepojone wonią świeżych fjołków, tętniące śpiewem skowronków i gwizdem szpaków.

— — Wiosna rzuci nam na przywitanie pęki bazi i żółtych kaczeńców, zakwitłych na łąkach, obejmując świat cały spojrzeniem jasnych blasków słońca.

— — — — — — — — — —

Do duszy wkrada się dziwna radość. Lekki podmuch trąca wypuszczającemi już zielone pędy konarami. Zakwitły po śnie zimowym kwiaty nadziei i beztroski. Zabrzmiała cicha zrazu, a potężniejąca z każdą chwilą piosenka życia. Zginął już hen w otchłaniach chłód dziwny, roznoszący utajoną skargę. Wesoło..... radośnie..... jak w raju. I nagle w tej atmosferze z srebrnych pyłów i liści..... zakwitł i szeroko rozwinął purpurowe płatki kwiat, kwiat przecudny, kwiat

wiosennych snów i upojeń. Zakwitł, by radośnie kąpać się w rosie porannej, suszyć swe płatki w słońcu, kołysać się w wietrze krainie marzeń. Aż nagle przyjdzie coś... kwiat wtedy zwiędnie i zginie, bo znów kiedyś po upalnem lecie i szarej jesieni nadejdzie mroźna zima, roziskrzy czarną noc i hulać będzie po przestworzach. Kwiat zwiędnie, a z jego zeschłych badyli wypuści pęd nowa, szerokolistna roślina: smutek. —

Makowiec Lech kl. VI.

B. Głowacki w nowszej poezji chłopskiej.

Na ławie szkolnej spotykamy się tylko z jednostronnemi opinjami nawet w rzeczach bardzo ważnych i bardzo drogich każdemu sercu Polaka. Nie inaczej ma się także rzecz z B. Głowackim. Zanim jednak przystąpię do rzeczy właściwej, pozwolą mi koledzy, że przypomnę ówczesny obraz naszej ojczyzny.

Chwila, kiedy B. Głowacki wychodzi na widownię ogólno - polską, jest chwilą zmagań się katowanego narodu o byt, o wolność polityczną, o całość nawy państwowej.

Wspominając o tych czasach, jestem zmuszony wspomnieć o drugim przedstawicielu tej epoki — o Kościuszce. Reprezentuje on, jakby dwa odrębne światy: świat chłopski i świat szlachecki. Chłopem jest ze sukmany, szlachcicem z serca, jest naczelnikiem narodu bez władzy.

I dzięki tak trudnej sytuacji mamy wiekopomny czyn chłopa polskiego z pod Racławic i Maciejowic.

Przyzwyczailiśmy się więc uważać B. Głowackiego, za symbol pojednania dwu nieprzyjaznych sobie warstw narodu — symbol pojednania chłopa z panem. A teraz zbadajmy, jak zapatruje się na te czasy i tę postać rzadko kiedy spotykaną w historji Polski, poezja chłopska. Najtypowszym odpowiednikiem w tej sprawie byłby nowoczesny utwór p. W. Skuzy p. t. „Kumac". Poeta daje w swoim poemacie, skreślonym w bardzo jędrnych i barwnych słowach, obraz biednej wsi polskiej,—wsi Rzędowic—o poszarpanych dachach, o zgniłych płotach i walących się chatach.

Nieprzyjaźń, jaką położyły całe wieki między chłopem a panem, przyćmił na chwilę nowy ideał — ideał wolności, i braterstwa.

— — — — — — — — — —

Bartos kosę w Rzędowicach
kuje kosę prostą, śwarną —
„ — ha, kiej równość mo być. wicie, —
to się trza do zniwa garnąć!"

— — — — — — — — — —

— kują kosy,
kują kosy,
— co godzina osiem.
kują kosy,
kują kosy
— wiatr krwi zapach nosi —

— — — — — — — — — —

— Rzędowice się zbudziły, Szujski pochylił głowę przed mieczem serc ludzkich, chowając w piersi głęboką nienawiść do tego, co chłopskie i nowe. Chłop opuścił rolę, uprawianą od niepamiętnych czasów przez jego ojców i dziadów, zroszoną jego własną krwią i poszedł w daleki świat, ciągnąc się z taborem od wsi, do wsi, od miasteczka do miasteczka, niosąc w sercu żałosne wspomnienia skomlących psów, — pożegnanie bliźnich i nadzieję, że krew jego stanie się posiewem wolności, że trup jego będzie nowym szczeblem wzniosłej drabiny wolności.

Przeżył szczęśliwie nędzę i niedolę wojenną, wsławił się w atakach na wroga pod Racławicami i Maciejowicami, za co Kościuszko łaskawie pogłaskał go po rozczochranej czuprynie i nazwał go imieniem B. Głowackiego.

Bartoszowi rzekł naczelnik,
że jest chłopem chwackim,
,,chłopem tobie więcej nie być, !
więc, zwę cię — Głowackim — ! "

Należało więc powrócić do domu, odpiąć szablę od boku i ręce odwykłe od pracy zpowrotem do niej zaprawić.

Powrócił i B. Głowacki; — w sercu jego grały naprzemian to radość to smutek bezdenny. Jedyną pociechą jego było to, że już nie będzie odrabiał pańszczyzny.

Jednak o zgrozo! Niezłamany gniew Szujskiego i teraz go nawet dosięgnął. Szujski nie mógł znieść tego, aby dawny jego poddany był mu równym, aby przypadkowo, czego niechaj Bóg broni, nie stracić więcej rąk do pracy, oddał go w rekruty.

I poszedł B. Głowacki w rekruty ze sercem na kształt sosny rozdartej gromem piorunu; obojętny, gdzie go losy rzucą, jedno miał tylko żądanie: być daleko od nieprawości, nie odrabiać pańszczyzny, nie widzieć Szujskiego.

I ten, którego szydercze losy wybrały sobie za swe narzędzie, poszedł na południe w nieznane kraje, ścigany nienawiścią szlachcica. Wichry huczały nad jego głową, a góry szeptały cicho:

Bartosu, Bartosu
Oj pójdzies do starsyzny
,,— wachmajster Glowatzki
i,,—Austrja — — — ojczyzna — —"

A on szeptał cicho:

a niechaj ta będzie
oj, jaka chce, ojczyzna,
byle nie ten — Szujski, —
byle nie — pańszczyzna!

I rozpłakały się smętne, jesienne wierzby i rozkwiliły się płaczące brzozy nad nieprawością szlachty i płakały nad losami Głowackiego i do dziś dnia smętne jeszcze wywodzą pienia. Tymczasem w Polsce gospodarował się moskal, jak w swojej komorze:

— a po Polsce hulał Moskal
oj hulał —
— zaprosiły pany cara
na króla —

Wepsięć Stanisław.

„Zebranie towarzyskie"

Motto:

C. Z. G. sprawił, że uszedłeś cało
Bez forsy, ale z życiem i zdrowiem,
Jemu podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, — opowiem.

Jest to publiczną tajemnicą, że nasz C. Z. G. choruje na pomnik, wystawiony w uznaniu jego zasług. Dlatego to długo łamał sobie głowę nad tem, co uczynić, aby zapisać się złotemi głoskami w niemniej złotych mózgownicach adeptów wiedzy, a tem samem pozyskać sobie ich dozgonną wdzięczność i poważanie. Dobry duch (zapewne jakiegoś wesołego profesora), zaklęty dziwnym kaprysem losu w nadobnych murach szkolnych, podszepnął „czynnikom miarodajnym":—urządźcie „zebranie towarzyskie" (czytaj bal).

Bal?—czemużby nie?

Do akcji dołączyła się kl. VIII o równie giętkich umysłach, jak nogach — no i — —

.... wdzięczni studenci zakupili „plac" pod pomnik.

— — — — — — — — — —

Po wypełnieniu ostatnich formalności przedbalowych (trzeba było przecież zaszyć dziurę w bucie i pożyczyć forsy) — z drżeniem serca udałem się na miejsce przeznaczenia, do „budy". Dusza moja parowała emocją, a ubranie wodą kolońską o bardzo wątpliwem pochodzeniu i jakości. Już zdaleka dochodziło mnie pobekiwanie saksofonu i jazgotliwe ujadanie skrzypiec, naogół jednak panowała harmonja (widocznie profesorzy byli już na sali).

Pokrzepiwszy się w bufecie na dalsze trudy tego dnia, pełen drżenia i dziwnych przeczuć otworzyłem bramę świątyni Terpsychory. Była ona wypełniona (świątynia, nie Terpsychora) młodzieżą płci obojga i tonami świetnej wojskowej orkiestry. Już na wstępie uderzyła mnie fala charakterystycznych woni, jakie wydają świeże pręty wiklinowe do wyrobu koszy i skrobana pietruszka. Rozglądnąwszy się dokładniej po sali, stwierdziłem z satysfakcją, że zmysł powonienia mnie nie omylił. Część płci nadobnej oddawała się z zapałem ogrodnictwu, ściślej mówiąc: uprawie pietruszki (klimat był sprzyjający); inne znów plotły z pośpiechem kosze, które wkładały na głowy natrętnych adoratorów, którzy wskutek tego chodzili jak błędni lub wogóle bez głowy. Lwia jednak część blondyno - bruneto- i platynogłów pląsała w rytm granych melodyj - i od tych wionęło tylko wysoką temperaturą, spowodowaną szybkim ruchem obrotowo-postępowym.

— — — — — — — — — —

Podchodzę do p. X., kłaniam się i:

- czy mogę prosić do tanga?

- z przyjemnością. tylko mi się wydaje, że to foxtrott.

No i tańczymy. Ja tango, ona foxtrotta. A muzyka grała walca (dowiedziałem się później).

Ale to nic. Wiadomo: Polacy to naród indywidualistów. Zresztą każdy ma swoje zapatrywania.

— — — — — — — — — —

--... pomarańcze są dziś bajecznie tanie.

-- O tak! Znać to po panu!...

-- ? ? ?

--... bo sobie z nich palców nie oblizał i we mnie wyciera!

I proszę Państwa, dostało mi się całkiem niesłusznie i niesprawiedliwie, bo to nie było po pomarańczach, tylko po ciastkach z kremem...

— — — — — — — — — —

—... pan świetnie tańczy!

— Tak?? „Bardzo mi nawzajem".

Ukłoniłem się w podziękowaniu, co przy tangu jest rzeczą b. łatwą.

— — — — — — — — — —

Jaki ruch! Jakie życie! Co za żywiołowość, co za temperament!

Twarze gorejące i spocone, oddechy a lá lokomotywa, ruchy pełne władczości i siły.

Tańczą już wszyscy. Dwójodawcy też. A już najwięcej to p. prof. (i tak zgadniecie, który), z twarzą o minie wniebowziętej, pełen dystynkcji i finezji. Ślapy swych stóp znaczy gracją, po drodze gubi polezowane słówka i wytworne uśmiechy. Włosy leżą mu dziś pierrrrwszorzędnie. Co chwilę sięga do kieszeni, wyjmując nową garść pięknych, poetycznych powiedzeń i zwrotów, zmięszanych z ulobionemi miętowemi cukierkami. W butonierce ma dziś bukiecik najpiękniejszych kwiatów literatury.

— — — — — — — — — —

- Janek, nie tańcz tak szeroko!

- Bo?

- Bo masz dziurę na spodniach między kolanami.

O!... poezjo i prozo!

— — — — — — — — — —

Jakoś około 10-ej zdrzemnąłem się troszeczkę. Może dlatego, że siedziałem blisko pieca, a muzyka grała ciągle jednakowe „kawałki".

Patrzę: Wchodzi Tangolita, nucąc po cichu „Leśne nastroje". Idzie prosto do mnie. Już się dobrze przestraszyłem, a tymczasem ona nie do mnie, tylko do pana Nikodema, tego z filmową urodą i „sex-appealem". Siada więc sobie Tangolita przy nim, waląc prosto z mostu: „Swój los na jedną stawiam kartę: ty-albo nikt".

A on jej na to smutno: „Teraz jest już zapóźno", a chociaż„ słowa twe są jak opjum"--to jednak—„już nigdy"!

Wtedy ona jękła: Ach, a więc to „Katiusza"! A Nikodm ze złością „Idź, nie wracaj"!

No i poszła ze „skrwawionem sercem", pozostał po niej tylko smutny zapach „jesiennych róż".

Tymczasem Nikodem mruczał z irytacją „Ach, te cyganki".

Patrzę ja na niego i myślę: Aleś ty głupi, zimny drań. Bo ta Tangolita była bardzo ładna. Patrzę—patrzę, a to nie Nikodem, tylko p. prof. X. Y. Zdziwiłem się głośno, a on do mnie: „Będziesz pytany pojutrze".

No i sprawdziło się.

— — — — — — — — — —

I cóż jeszcze powiem? Że tango jest lepsze od tangensów, walc od walca (tego z matematyki), a mazurek smaczniejszy od swego braciszka z „święconego". A przedewszystkiem—opłaciło się. Bo ostatecznie nie liczy się kilku głupich palców u nóg, urwanych w ferworze tańca, kilku zbałamuconych głów i zgubionych serc (trzeba dobrze chować — to się nie zgubi: najlepiej nosić w spodniej kieszeni marynarki).

Działo się to 9. II. roku Pańskiego 1935.

Ag-pit.

Nasza świetlica.

Szare życie studenckie, zwłaszcza na głuchej prowincjl.

Chciałoby się powiedzieć: ,,smutno nam Boże", a jednak jest coś, co rozjaśnia jasnym promyczkiem beznadziejność naszego życia. Pewnie was zaciekawi, co to może być? Otóż, aby zaspokoić waszą ciekawość, drodzy moi przyjaciele, powiem wam to magiczne słowo: Świetlica! Słowo to może komuś coś oświetlić w jego przyciemnionem pustkowiu. I teraz całe rozwiązanie zagadki, dlaczego się tu każdy garnie. Ale jak niema reguły bez wyjątku, tak i do świetlicy nie wszyscy przybywają w tym samym celu. I tak brać studencka dzieli się na kółka i kółeczka. Jedna grupka to myśliciele, zadumani, poważni, zdawałoby się, że na ich barkach spoczywają trudności przeniesienia i ulokowania starostwa z Ropczyc w stołecznem mieście Dębicy. Przy stoliku siedzi grupa szachistów i tak są zainteresowani swą grą, że nie widzą otoczenia, a nawet nie reagują na żarty kolegów.- Tam znowu technik z ,,Bożej łaski" manipuluje coś przy radju, a jego postawa, ruchy i wzrok pełny dumy zdaje się mówić: ,,Właściwy człowiek na właściwem miejscu". (Oby ten odbiornik pod kierunkiem tegoż fachowca nie zamilkł nam nazawsze). Opodal wałkuje się sprawę maskarady. Zdobywczynie i zdobywcy nagród, opowiadają o swoich sukcesach. Do błogich wspomnień przyczynia się ilość skonsumowanych kanapek i pączków w dowolnej ilości. Wspomnienia tych smakołyków powodują gruczoły ślinowe do pracy. Wesoły nastrój razi tylko wspomnienie słonego śledzika, który podano na kolację zamiast pączków. Ostatnia grupa to miłośnicy pieca (rekrutujący się z koedukacji); otoczyli go wkoło i podpierają starowinę. Niewiadomo, kto kogo grzeje. Piec staruszuk niedomaga. Lecz siła przyzwyczajenia ciągnie do niego.—A na ten żywy ludek szkolny spogląda z frontowej ściany król Wł. Warneńczyk i zda się, chciałby powiedzieć: Nie tak dobrze się powodziło młodzieży w dawnych czasach.

P. S.

Są świetlice wesołe, są i poważne, czasem takie jakieś nijakie. Wszystko zależy od nastroju. Nastrój—magiczne to słowo. Trudno przychodzi tworzyć nastrój wesoły. Łatwiej przychodzi nam ,,na poważnie", ,,na serjo" traktować świetlicę. Więcej życia, humoru, Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!— Może dałoby się wykorzystać rodzinne talenty.... Mojem życzeniem raczej, szczerze mówiąc, marzeniem, to wieczór humoru, karykatury, pieśni i muzyki. Wzywam autora ,,Budy na języku", aby zorganizował taki wieczór, Ma on dużo werwy i wielkie wyczucie humoru. Ileż sytuacyj komicznych stwarza to nasze szare życie studenckie. Zabierzmy się więc do pracy. Inicjator chętnie pomoże. Rzucam nawet temat konkretny jako jeden punkt wieczoru humorystycznego: Kolega Leń (ch) już się uczy, lub: Moje perypetje z ostatniej wyprawy. Inny temat brzmieć mógłby: Klasa VII wymalowała i ozdobiła salę. Ile w tym temacie humoru, jeden Opiekun tylko wie. Wniosek o podniesienie autorytetu wójta kl. VII-ej też ma pointę humorystyczną. Pardon: A wiersze z kosza redakcyjnego, odpowiednio ,,wygłoszone" też mogą przysporzyć sercom spragnionym radości. Tyle na początek...

..... Dalej rzecz powinni prowadzić ,,kawalarze".

Domagam się humoru....!

Agna (VII).

Buda na języku.

Jeden ze świeżo przyjętych do naszego gimnazjum uczniów już po kilkudniowym pobycie w naszej „Budzie“ w tem oto zdaniu scharakteryzował swój stosunek do szkoły i dał wyraz swym zapatrywaniom na przyszłość: „W gimnazjum dębickiem czuję się tak, jak Adam w raju, to jest żyję z dnia na dzień i stale spodziewam się wyrzucenia“.

Dnia 9 lutego br. po zabawie, urządzonej przez C.Z.G., doktór szkolny zanotował w księdze chorób następujące wypadki: 4 zatrucia organizmu, spowodowane przepiciem się wodą sodową, 5 zasłabnięć naskutek niedomagań żołądkowych, wynikających z niezwykłej taniości bufetu, poza tem kilka zawróceń główek i uszkodzeń nóg u koleżanek przez nieostrożnych tancerzy, oraz 2 ataki sercowe, zanotowane u osobników płci żeńskiej: jeden pod wpływem „łagodnego“ wzroku p. profesorów, a drugi.... pewnie dla tego samego powodu.

Grypa! Poddając analizie wyraz „grypa“, z łatwością dojdziemy do tego, co powoduje w klasach niezwykły ubytek kolegów, zapadłych na tę właśnie chorobę. Otóż, jak nam się zwierzył jeden z chorujących, gry-pa, jak na to zresztą sama nazwa wskazuje, rozpoczyna się od gry oczywiście aktorskiej. Idzie się więc z miną niewinnego baranka do lekarza szkolnego, aby go „nabić w butelkę“, czyli innemi słowy zabawiać przez pięć minut opowieściami o bólu gardła, dreszczach, gorączce i t. p. Później biegnie się do klasy po książki, krzyknie kolegom na pożegnanie: pa! i w różowym humorze powraca do domu.

Od jednego z własnych korespondentów redakcja „U nas“ dowiedziała się o rozmowie, jaka miała miejsce kilka dni temu w jednej z klas, prowadzonej przez jednego z p. profesorów z naszym kolegą. Przytaczamy dokładną jej treść. Profesor: Znowu na dzisiaj jesteś nieprzygotowany, chociaż przyrzekłeś, że już nigdy nie zaniedbasz odrobienia lekcji. Na co roztropny koleżka: O przyrzeczeniu pamiętam, myśląc jednak stale o tem, aby go nie zapomnieć, nie mam czasu na nauczenie się lekcji.

Pan profesor Stahl skarżył się podobno panu dyrektorowi na wandalizm uczniów, objawiający się w działalności niszczycielskiej. którą zaobserwował u wychowanków naszego gimnazjum. Jako „corpus delicti“ przedłożył dwa globusy, wzięte z gabinetu geograficznego, z których każdy posiada skrzywioną oś, dając tem samem mylne wyobrażenie o położeniu ziemi względem słońca i jej krążeniu.

Jedna z koleżanek, pragnąc w przyszłości odbierać chleb i tak zresztą zgłodniałym zawsze literatom, napisała do redakcji pięknie wykaligrafowany list z prośbą o radę na przyszłość. Chodziło jej bowiem o to, czy kiedyś po ukończeniu gimnazjum zostać powieściopisarką, czy też studjować astrologję, ku której również czuje pociąg. Redakcja udzieliła zapytującej następującej odpowiedzi: Po dokładnem przestudjowaniu listu koleżanki doszliśmy do przekonania, że zawód astrologa będzie dla niej odpowiedniejszy.

Mówią, że jeden z tych, którzy zwiedzali wystawę, związaną z 30-letnią pracą prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, a otwartą w auli gimnazjalnej, zapytany o wrażenie, jakie z niej wyniósł, odpowiedział: Wrażenie miałem jedno wielkie, a mianowicie pewność, że zostanę uduszony i zgnieciony. Słowa te obejdą się bez komentarzy, wynika z nich bowiem jasno, jak wielką frekwencją cieszyła się wystawa.

Na zarzuty kolegów i koleżanek, twierdzących, ze poruszane przeze mnie tematy są kopją żartów, wyczytanych w jakichś pismach czy gazetach, odpowiadam, że posądzenia tego rodzaju wcale mnie nie dotykają. Za pierwowzór możemy wziąć bowiem tylko to, co stworzył Pan Bóg, to jest świat i ziemię, wszystko inne to kopja.

Makowiec Lech kl. VI.

Kronika.

1, 2, 3. II. 35 r. Z inicjatywy Dyrekcji Gimnazjum urządzona została akademja ku uczczeniu Imienin P. Prezydenta R. P., połączona z wystawą gospodarczo-naukową.

9. II. 35. Staraniem klas VIII a i VIII b oraz centralnego Zarządu Gmin zorganizowana została zabawa taneczna dla uczniów gimn., jakoteż i ich rodziców.

10. II. 35. Opłatek Sodalicji żeńskiej. Tradycji uczyniono zadość i tym razem, organizując wspomnianą wyżej imprezę, która się odbyła w ramach stowarzyszenia przy małej stosunkowo ilości gości.

10. II. 35. Uroczyste oddanie „sali morskiej” szkolnemu Kołu L. M K

11. II. 35. W dniu tym o godzinie 5 popołudniu Koło polonistyczno-historyczne urządziło imprezę świetlicową ku uczczeniu pamięci powstanców z roku 1863, na program której złożyły się następujące punkty: 1) Przemówienie 2) Deklamacje. 3) Produkcje chóru. — Całość wypadła nadzwyczaj efektownie.

2. III. 35. Impreza świetlicowa, urządzona przez klasę II a.

3. III. 35. Bal maskowy klas: I a i I b.

Obiadowy humor

A: Wiesz, dzisiejsza zupa przypomina mi zupełnie polskie morze.
B: Cóż ma morze polskie do zupy?
A: ... a bo widzisz, jest również małe, słone i pełne niezbadanych tajemnic...

Ag.

Wydawca: Centralny Zarząd Gmin. — — Redaktor odpow.: Mgr. Dąbrowski Michał.
Redaktorzy: Kwiatkowski Kazimierz, Mach Wilhelm — — Druk Hauser, Dębica.